

Stanisława Dobrowolska, ur. 5.07.1912 r. we wsi Nowosiółka, pow. Podhajecki, woj. Tarnopol. Ukończyłam tylko szkołę podstawową. Potem pracowałam z mamą na gospodarce. Wyszłam za mąż i zamieszkałam we Lwowie. Mam zaskoczyła mnie wojna. Ze względu na to, że w dużym mieście ciężko było żyć, ponownie przenieśliśmy się do matki, na wieś.

Na rozdrożu we wsi, między starą wsią a kolonią, kobiety ze Związku Strzeleckiego ufundowały figurę Matki Boskiej. Jak wkroczyli Rosjanie 18.09.1939 r. /9 mil od granicy/, to pierwsze co zrobił rosyjski czołgista to strącił tę figurę. Ukraińcy witali ich chlebem, solą, kwiatami, kawą. Na pusty cokół wszedł Polak, kolonista z naszej wsi, Peło. Po pierwszej wojnie został w Nowosiółce rozparcelowany majątek księżnej Lubieńskiej i na tych gruntach osiedlili się koloniści. Peło to był taki człowiek, który miał mnóstwo dzieci a nie za bardzo chciał pracować. Zaczął przemawiać taki szczęśliwy: "Bracia! Wybiła nasza godzina! Teraz dopiero będzie życie, teraz władza będzie w naszych rękach!" - Zakrzyknął z radości: "Hurraaa!!!" - Jak później zaczęli ludzie sakolonizowanych na parcelowanych dobrach wywozić, to jego pierwszego wzięli, bo mieszkał na skraju wioski. Tę swoje dzieciaki, a miał ich chyba dziesięciore, gołe i bose ładowali na sanie. A zimno było strasznie jak pierwszy raz wywozili /10.02.1940 r./. Tak mu ta oczekiwana władza radziecka podziękowała.

Mieszkałam przez okres okupacji sowieckiej u matki. Do żadnej pracy nie chodziłam, bo pomagałam w gospodarce. Z Rosjanami żadnej styczności nie miałam, nawet w urzędzie nie byłam. Wioska była w większości ukraińska. Pamiętam, że były wybory. Ja urodziłam 16 grudnia 1940 r. synka. Do mnie wtedy z urną przyjechali, bo ja z łóżka się nie mogłam podnieść.

Jak Niemcy pognali Ruskich, to wróciliśmy na trochę do Lwowa. Zlikwidowaliśmy tam mieszkanie i na stałe przejechaliśmy do matki. W 1942 roku, jak "banderowcy" zaczęli podnosić głowę, to wszyscy, którzy czuli się zagrożeni, zgrupowaliśmy się na niemieckim folwarku Bekersdorf /przed wojną przewali na Bekierów, ale za Niemców ponownie Bekersdorf/. Mieszkali tam koloniści niemieccy, którzy wyjechali po zajęciu tych terenów przez Rosjan na podstawie umowy z Hitlerem. Po wkroczeniu Niemców stworzono tam Kriegen-schaft. Dyrektorem był człowiek przychylny dla Polaków. Chroniło to też przed wywiezieniem do Niemiec. Pan Wojciechowski był magazynierem, a mój, Dobrowolski, starszym fernałem. Panowie już wtedy byli w konspiracji, ale do kobiet to nie dochodziło. Potem stwierdzili, że kobiety będą bardzo pomocne. Początkowo byłam tylko sympatykiem. Dopiero w marcu 1943 roku składałam przysięgę, już jako normalny żołnierz. Pseudo moje z konspiracji "Marta". Przysięgę ode mnie odbierała s.p. Stasia Wojciechowska. Wykorzystywano mnie jako łączniczkę. Bardzo dobrze mówiłam po ukraińsku. Po ukraińsku modliłam się, śpiewałam. Mogli mnie "banderowcy" złapać w obcej wiosce i nikt by nie poznał, że jestem Polką. Zawsze mówili: "Gdzie djabeł nie może, tam Staśkę posłać, Staśka załatwi." - Później już, jak było bardzo ciężko na wsi żyć, uciekliśmy do miasta. Przejechaliśmy do Podhajec, to kresowe, małe miasteczko. Byli tam i pan Wojciechowski z żoną i wszyscy nasi znajomi. Naprzód byłam łączniczką, a potem dali mi bardzo odpowiedzialną pracę, bo zostałam opiekunką składnicy meldunkowej. Na moje ręce przychodziły meldunki i rozkazy i wysyłałam je dalej.

W Podhajcach doszkaliliśmy przyjeźdźcą Armii Czerwonej. Jesień jako tako przeszła, chociaż już były aresztowania. Aresztowali mnie, trzymali trzy tygodnie i przed świętami wypuścili, nie wiem dlaczego. Dobrowolski już siedział. Przyszałam do domu, a tu matka

ciężko chora, synek małecki zaniedbany, brudny. Nie zapomnę jak krzychał: "Jak dorosną, to ich wszystkich powystrzelam! Już cię więcej nie będą aresztować!" - wypuścili mnie chyba na wabika, żeby wiedzieć, kto do meża przychodził, z kim ja się kontaktowałam. Aresztowali mnie ponownie 3 stycznia 1945 roku. Siedziało już bardzo dużo osób. Między innymi: Józef Wojciechowski, Władysław Bajdak nauczyciel, Czesław Gaiczak, Zbigniew Lis - nasz komendant. Nie wiem od czego się wsypa zaczęła, ale chyba ktoś wydał komendanta, bo jego zamknęli pierwszego. Nas, kobiety, wydała komendantka Józefa Dąbrowska. Aresztowano przez tego w Podhajcach *Listwana* organistę z kościółka i najmłodszego wśród nas - Władysława Lutkiewicza. Spoza naszej grupy Zacharków i Sokołowski. Zatrzymanych było sześć kobiet: Kazia Bajdak, panna Ania Hipesz, pani Galucińska z domu hrabińska, siostra zakonna Brudszko, starsza panna Nora Bauman i ja. Pani Bauman była aresztowana wraz z ojcem, który zmarł w więzieniu śledczym. Całą grupę z Podhajec przewieźli do więzienia w Czortkowie. Powinniśmy siedzieć właściwie w Tarnopolu, ale więzienie tamtejsze było zniszczone, bo miasto trzy razy przechodziło z rąk do rąk w roku 1944. Czortków to stare, kresowe miasteczko, przed wojną żydowskie. Na górze znajdował się zamek książąt Czartoryskich, a na dole płynęła rzeczka Seret. Zamknięto nas najpierw nie do długiego więzienia, lecz do prywatnego domu, w którym urządzono KPZ "kamiera przedwaritalnowo zakluczenija" /areszt śledczy/. Było tam 13 piwnic, nie wielkich, przeznaczonych na węgiel lub na kartofle. Z jednej zrobili kuchnię, a 12 było dla więźniów. W każdym z takich pomieszczeń było około 35 osób, dosłownie jedna na drugiej. Trzy miesiące nas nie myli. Trzy miesiące kobiety bez mycia. Jak któraś chciała się obmyć, to musiała korzystać z gotowanej wody, jaką dawali nam do picia.

Mąż mój siedział w "ósemce", Józio Wojciechowski w "piątce", ja z Kazią Bajdak w "szóstce". Wszystko było slychać. Jak wołali na górę na śledztwo, to wzywali: "Na bukwu "De" albo "Na bukwu" "We". Już człowiek wiedział, że wołają swoich. Akurat nad naszą piwnicą był pusty pokój przeznaczony specjalnie do bicia. Tam, gdzie przesłuchiwali, to nie bili. Czasem któryś kopnął albo w twarz uderzył. Do prawdziwego bicia brali do tego pustego pokoju i nie bił śledczy. Był do tego wysoki, dobrze zbudowany Żyd nazwiskiem Daniłow. Sadysta. Wrzucał oszowika do tego pokoju i pytał: "Będziemy gadać czy bić?" i zaczynało się katowanie. Stosowali chyba wymyślne tortury, bo ludzie strasznie krzyczeli. Mężczyźni i kobiety. Nie wiesz, czy to twój mąż krzyczący, czy Józio, któremu dwoje dzieci do chrztu trzymałam, czy jakiś kolega, nie wiadomo. Już sama wołałam być bita niż tego słuchać. To mi zostało do dzisiaj, ten krzyk we mnie. Potrafię się w nocy zrywać i krzyczeć.

Te "banderówki" przywiezione z łagu były strasznie brudne. Miliony wszy, tak kaziły, że można było je ręką zgarniać. Potem zrobili w jednej z cel prowizoryczną kąpielnię. Zaczęli nas myć, ale na jeden raz dawali tylko trzy litry wody. Trzymali nas tak dziewięć miesięcy. Brali zawsze na przesłuchanie przed kolacją. Brali wieczorem i trzymali oszowicie godzin, aż po śniadaniu puszczała. Tak, że nie było ani śniadania ani kolacji. Trwało to długo, bo grupa była liczna i chcieli wyciągnąć jak najwięcej. Byłam szczęśliwa, że nikogo nie wycpałam. Przez mnie nie płakała żadna matka, żadna żona, ani niezyje dzieci. Co miałam dostać, to dostawałam, ale wyszłam czysta. Mnie na śledztwie sypnęła siostra zakonna. Musiałam spalić archiwum, bo panowie już byli aresztowani. Papiery były przechowywane w szpitalu. Budynek ten był do połowy zbombardowany i w tej zniszczonej części w piwnicy

było archiwum. Nie znałam drogi, więc poprosiłam siostrę zakonną, Brudeło, pracującą w szpitalu. Ona nie była w konspiracji, nie była zaprzysiężona, ale była sympatykiem, wiedziała, o co chodzi. Ją też aresztowali, siedziała razem z nami. Sypnęła mnie, bo ją nastraszyli rewolwerem. Zrobili nam konfrontację. Siedzę w tym gabinecie, a ją przyprowadzają. Mówi do mnie: "Przyznaj się, Stasiu, bo ja i tak wszystko powiedziałam." - Mnie zaskoczyło, ale co miałam zrobić? To były takie czasy, że się siostry w ręce całowało. Zaraz ją wyprowadzili. Śledczy Krawcow mówi: "I co ty na to teraz?" - Mnie się może dosyć głupio powiedziało: "A dobrze wyrobicie, że tych świętych nie lubicie." - Na sądzie, gdzie się wszyscy spotkaliśmy z nią, ona mi mówi: "Wiesz, a mnie by byli zastrzelili. A ty co miałas do stracenia? Przecież dobrowolnie i świadomie szlas!"

9 maja na cześć zwycięstwa zaczęli w nocy ostro strzelać. W celi zapanaował strach, bo zdawało się, że oddziały "benderowskie" napadały na więzienie. Polaków mordowali, a Ukraińców wypuszczali. Siedziały wtedy ze mną jeszcze dwie Polki, p. Szczepańska z Tarnopola i Kazia Bajdak. Ja mówię: "Wiedcie panie co? Tu trzeba mówić ostatnią modlitwę, bo "benderowcy" nas żywych nie wypuszczą - to jasne!" - Myśleliśmy, że to "benderowcy" atakują więzienie, a to na cześć zwycięstwa dzień i noc strzelali. Wierzyliśmy, że na koniec wojny będzie amnestia dla politycznych. Dla politycznych jednak nie było, bandziorów wypuścili, a nie nas.

A więc sąd. Na sąd zaprowadzili nas do dużego więzienia. Porzucali po różnych celach i czekaliśmy. Mnie z Kazią Bajdak zaprowadzili do takiej celi, w której było bardzo wielu pomordowanych w 1941 roku. Tam ściany i sufit nachlapane były krwią. Było to pobiałkowane, ale wapno nie zabiło tej krwi. Było tam strasznie.

Najbardziej rzucały się w oczy napisy polskie i ukraińskie robione przez ginących ludzi. "Mam lat 17, jestem skazany, jutro mnie rozstrzelają." - Takich napisów było na ścianach masę. Później siedziała z nami jedna pani z Czortkowa. Mówiła, że jak Niemcy przyszedli, to całe to więzienie było zapchane trupami, a ocalał tylko jeden jedyny człowiek, który się schował w beczce na strychu. Niemcy kazali Żydom na wóz rozłożone zwłoki wnosić. Niemcy robili zdjęcia i pokazywali je ludziom.

Na sąd chodziliśmy przez parę dni. Prowadzono nas z tego dużego więzienia do jakiegoś prywatnego domu czy może klubu. Było tam jakieś podium czy też scena. Siedział tam lejtnant, jakaś młoda dziewczyna i młody żołdat w obsmarowanych spodniach, który nawet nie siedział na krześle, a na tym podium i stało jeździł na pupie jak mały dzieciak. Taki mieliśmy poważny sąd, "wojenny trybunał". Mieliśmy potem prawo do ostatniego słowa. Nikt o nic nie prosił, nikt się nie upokorzył, nikt nie błagał. Tak śmiało się ładnie trzymali, że aż miło. Zasadzili nas. Ja dostałam 10 lat ITL, plus pięć lat pozbawienia praw obywatelskich i zesłanie "w oddalonyje kraja Sybiri". Lis i Gajosak dostali po 20 lat katorgi, a mój mąż i Wojciechowski po 15 lat "KTR". Najmniej z panów dostał najmłodszy, Władzio Lutkiewkoz, który dostał 10 lat. Wszystkie kobiety z tej sprawy też dostały po 10 lat. Proces nasz odbywał się w sierpniu 1945 roku.

Po wyroku podali przez głośniki na cały Czortków, że zakończył się proces polskiej bandy, że wszyscy zostali zasądzeni. Przesiedzieliśmy jeszcze z miesiąc w tym więzieniu, aż przyszedł etap. Wyprowadzają nas. Byliśmy chorzy, źle karmieni, mieliśmy straszne przeżycia. Wyprowadzają nas, formują dużą kolumnę, chyba ponad 1000 osób szło. Przez cały Czortków idziemy w piękną pogodę. Mnóstwo ludzi było, nawet niektórzy znajomi z Podhajec przyszedli.

Zaprowadzili nas na dworzec. Zawieźli nas do Tarnopola. W Tarnopolu staliśmy ze dwa dni, bo nie było wolnej drogi. Pierwszeństwo miały transporty powracających z frontu. To był już koniec września. Tarnopol był tak zniszczony, że widać było tylko zwalony gruzu. Pewnego dnia otworzyli drzwi wagonu, a naprzeciwko nas ogródek. W ogródku tym stała figura Matki Boskiej Niepokalanej, nienaruszona zupełnie. Jechała ze mną ta siostra zakonna i Kasia. Mówię do nich: "Wiedcie, to jest dobry znak. Matka Boska nas błogosławi i Ona nas przywita. My wrócimy, musimy wrócić! Matko Boska, będziesz nas oczekiwać i przywitasz nas." - Później odmówiliśmy "Pod Twoją obronę..." i jakaś otucha w sercu wstąpiła i było trochę raźniej jechać w to nieznane.

21 września 1945 roku przejechaliśmy starą granicę i znaleźliśmy się na Wielkiej Ukrainie. Dwa tygodnie jechaliśmy do Dniepropietrowska. Wieźli nas tam chyba, żeby trochę nas odkarmić. Jest tam bardzo ciepło, tak że w grudniu myśliśmy się jeszcze na dworze. Tam byliśmy przydzieleni do pracy w kuchni i radzono nam, żebyśmy jedli surową kapustę, marchew i cebulę. Jak wchodziliśmy do Dniepropietrowska, to musieliśmy 14 kilometrów przejść piechotą, bo mosty na Dnieprze były powalone. Konwój nie mógł nas uchronić. Co kto miał pod ręką, to w nas rzucał. Kamienie, cegłę potłuczoną, zgniłe posiadory - Bóg wie co. A wyzwiska się sypały! Ale trud no się dziwić tamtejszym Ukraincom. Oni wiele wycierpieli od Niemców, a powiedziano im, że to idą ci, którzy z Niemcami współpracowali. Podobno na czele kolumny szła czwórka, dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Mieli założone szarfy, a na nich napisane "izmiennik rodziny". Dlatego nas ludzie tak witali.

Dniepropietrowsk to było potężne więzienie. Z każdego punktu miasta widać było te czerwone gmachy. Ulica Czeczierska sto metrów.

Budowała je jeszcze caryca Katarzyna. Czteropiętrowe bloki z czerwonej cegły. Tam byliśmy kilka miesięcy. Po raz ostatni widziałam wtedy swojego męża przez okno, gdy był na spacerze. Też był w Dniepropietrowsku, ale później powieźli mężczyzn na północ do Workuty i Peczory, a nas na południe, na Ural.

W Sylwestra załadowali nas w wagony i jedziemy dalej. Konwój, który na stamtąd prowadził, przepił wszystko, co dostaliśmy do jedzenia. Nowy Rok to trzeba pić! A za co pić skoro tam była straszna bieda. Więc oni przepili wszystko. Byli tacy więźniowie i więźniarki jak ja, co się wszystkiego bały, ani języka nie znały dobrze, ani swoich praw. Ale były tam Rosjanki, przeważnie wywiezione do Niemiec na roboty, którym teraz dali 6-ty punkt - szpiegostwo i po 15 lat katorgi. Wiele takich z nami jechało. Zaczęły się upominać, że przecież więzień ma zatwierdzoną rację żywności i żeby dali nam jeść. Wtedy konwojenci zaczęli nas bić w wagonach. Do sprawdzania czy nie odrywa się desek, mieli drewniane młotki na długich trzonkach. Zganiali wszystkie w jeden kąt wagonu i później każdą biczili młotkiem. Po plecach albo po głowie, gdzie się udało trafić. Jak te dziewczyny dalej się upominały, to wygasili piec. A to styczeń, straszny mróz. Miałam obojętne buty, które przymarzały do nóg. Jak ktoś siedział przy ścianie, to przymarzał do ściany. Droga była straszna.

19 stycznia 1946 roku przyjechaliśmy na Ural. Mróz był nieduży - 46°C. Wyładowali nas z wagonów, a te ruskie dziewczyny od razu poszły do naczelnika, który miał nas zabrać. Coś mu mówią, mówią, mówią. W końcu ten konwój, który nas miał odebrać, odczołżył ten konwój, który nas przywiózł. Naczelnik zaarrestował ich wszystkich, łącznie z dowódcą, za to, że się znęcali, bo przywieźli w naszym transporcie 12 zabitych. Zaprowadzili ich od razu do więzienia, a potem wrócili po nas. Znaleźliśmy się w Mołotowie /dziś Perm/.

W Mołotowie znaleźliśmy się na "peresylnym punkcie", nazywaliśmy to "gieldą niewolników" - "birza truda". Przywozili tam ludzi ze wszystkich więzień, a później poszczególne obozy robiły zapotrzebowania, ile potrzebują osób, młodych czy starych, mężczyzn czy kobiet, w zależności od wykonywanych tam prac. Nas przywieźli w takim stanie, że od razu 120 kobiet położyli do szpitala. Opróżnili dwa baraki i zrobili z nich szpital. Ja również się tam znalazłam. Byłam jak cień, zawsze byłam szczupła, a po roku śledztwa, głodu i zmartwień to wyglądałam zupełnie źle. W tym szpitalu byliśmy chyba 6 tygodni.

Mieliśmy szczęście w nieszczęściu, bo naczelnikiem tego obozu był Żyd urodzony w Baranowiecach, Jamnicki. Jego ojciec był komunistą i kiedy miasto przypadło Polsce, przeszedł na tamą stronę, bo uważał, że tam go czeka raj. Syn był w 1946 roku starszym lejtnantem, komendantem "peresyłki" w Mołotowie. Był bardzo ludzki, potrafił pójść do stołówki, żeby sprawdzić jak i co gotują, czy nie kradną. Po polsku nie mówił, ale rozumiał.

Gdy już doszliśmy do siebie, w baraku szpitalnym pojawił się jakiś mężczyzna, który szukał krawcowej. Ja ładnie szyję. Wtedy jeszcze nie umiałam tego co dzisiaj, ale wyrosłam w internacie u sióstr, a tam uczyli wszystkiego. Miałam więc opanowane jakieś początki, a poza tym chyba wrodzone zdolności. Ja byłam bardzo wstydliwa, ale z nami była wtedy pani Galusińska z naszej sprawy. Ona pochodziła ze Żmerynki, z Wielkiej Ukrainy, jej ojciec miał tam kilka cukrowni, była hrabianką z domu. Umiała po rosyjsku i mówi, że jest pomiędzy nami krawcowa, ona umie szyć, ale tak się krępuje, że nie zgłosi się do pracy. A ja rzeczywiście się bałam, jeszcze po tym okresie izolacji od ludzi zupełnie nie wiedziałam jak sobie dam radę.

Pani Galusińska jednak wytłumaczyła mi, że muszę tego spróbować, bo inaczej nie przetrzymam.

Poszłam do pracowni krawieckiej. Na szczęście było tam kilku Ukraińców krawców i szewców - a ja dobrze znałam ukraiński - przez których mogłam się porozumieć z Rosjanami. Okazało się, że zostałam ściągnięta dlatego, że żona naczelnika wybierała się na jakiś ubaw a nie miała sukienki, nie miała się w co ubrać. Widzę, że jeden już mi maszynę czyści, drugi stół myje, bo tam było wielu takich "krawców" co nic nie umieli. Ta Marusia przysłała i przyniosła piękny materiał - biały chiński jedwab a po nim białawy rzucano. Pomierzyłam ją i pytam się, jaką ona chce sukienkę - przez tłumacza. Ona zaczęła mi opowiadać, ale ja mało co z tego zrozumiałam. Zaproponowałam więc, że narysuję. Narysowałam jej taką sukienkę z krótkimi rękawami, obojętą, a z dołu kłosa. Ona to zobaczyła i mówi: "Kak charaszo, kłoszi!" Wykroiłam suknię i mówię, żeby przysłała za dwie godziny. Ona poczekała w kancelarii męża. Rozścieliłam ten materiał i mówię: "Matko Boża! jak Ty mi nie pomożesz, to nikt nie pomoże. Pomóż mnie!" Nidwiele umiałam, jakiś szlafrok zrobić czy coś takiego, sama się u krawca ubierałam. I Matka Boska pomogła. Gdy przysłała, leżała ta sukienka jak ulał. Wyprowadziłam ją z tego pokoiku, gdzie się ubierała, na salę tej pracowni i mówię: "U nas kobiety ubierają się dla mężczyzn. I mężczyźni zawsze lepiej wiedzą w czym kobiecie ładnie. A więc mężczyźni-krawcy popatrzcie - dobrze czy źle? Gdzie mam poprawić?" Tym ich sobie ujęłam, tym kupiłam. Był tam stary krawiec, który podobno w młodości carem szył - Tabanow. On obszedł nokoło Marusię, pooglądał i stwierdził: "Wiedzie, mamy do czynienia z prawdziwym majstrem." A ten majster myśli sobie: "Człowiaku, żebyś ty wiedział, jaki ze mnie majster!"

Pracowałam tam bardzo dużo, po 18, po 20 godzin. Mieli wielkie ilości tych nagrabionych materiałów, a krawcowa była tylko jedna. Szyłam tylko zgonem największych naczelników. Było mi tam zupełnie nieźle, dostałam trochę do siebie, trochę mnie odkarmili. Mogłam nawet pomóc swoim dwóm przyjaciółkom: pani Galusinskiej i Ani Hipsz. Niestety, potem je zabrali, bo nie można po jednej sprawie być w tym samym obozie. One poszły na jakąś kolenią pod Mołotowem, gdzie produkowało się zabawki. Obie przyjechały do Polski w 1943 roku. Zostałam tam sama.

Później naczelnik Jamnicki chronił mnie od wywozu do innych obozów. Powtarzał niejednokrotnie: "Nie będziesz ty tyle lat siedzieć, musi się coś zmienić!" W ogóle był przychylny Polakom. Kazał mi, gdyby się pojawił jakiś obcy naczelnik w pracowni krawieckiej, nie przysnawać się do tego, że ja jestem polityczna, a mówić, że byłam sprzedawczynią w kiosku, zrobiłam manko i mam trzy lata wyroku. - "A ja twoje liczne dzieło /papiery/ schowałam!" - Nie można było przy takich pracach zatrudniać politycznych. Utrzymał mnie na tej "peresylce" półtora roku, ale dłużej już się nie dało.

Po zabraniu tych koleżanek w obozie nie było żadnych Polek, nawet Ukraińców "naszych" nie było. Dzięki temu szybciej nauczyłam się po rosyjsku. Spotykałam w tym czasie jednego Polaka - Bronka Radnickiego. On był weterynarzem, ale w męskim obozie pracował jako lekarz. Zbyt blisko z nim nie żyłam, bo ciężko się było dostać do męskiego obozu, był on oddzielony od naszego płotem. Trzeba było wyszukiwać jakiś pretekst, żeby tam wejść. Był jeszcze chłopak ze Lwowa, Leszek. On siedział na coś w karczerze. Murowany i zakratowany karczer był obok baraku, w którym mieściła się pracownia krawiecka. Kiedyś zobaczyłam, że wynoszą stamtąd kogoś na kocu. Za chwilę jeden z

nadzorców przyszedł i mówi: - "Ty wiesz, tam mały Polak się poranił." - Namówiłam go, żeby zaprowadził mnie do szpitala. Pamiętam, że Leszek leżał na ławce, a pod nią kapała krew. Broniek, lekarz, powiedział mi, że w karczerze byli zamknięci kryminaliści i oni kazali temu chłopcu dokonać samookaleczenia. Oni to często robili, ale robili powierzchowne cięcia, a on to zrobił nieumiejętnie i zaciął się bardzo głęboko. Nie wiem, co się potem z tym chłopcem stało.

Śmiertelność tam była bardzo wysoka, szczególnie w 1947 i 1948 roku. Codziennie składali do skrzyni 15-16 osób, kobiety i mężczyźni, nagich, tylko z kartką na nodze. Myślny myśleli, że każdemu trumnę zrobią. Ale nie. Wynosili te skrzynie, wysypywali ich zawartość i z powrotem te skrzynie przyjeżdżały do obozu. Trzymali je tam, gdzie kartofle i kapustę.

W 1948 roku zabrali mnie stamtąd na Syberię. Wiązało się to z zaostrzeniem kursu wobec politycznych. Jechaliśmy z Męłotowa "stolypinskimi" wagonami. To były zwykłe osobowe pociągi, ale ławki i półki były na kratami. Wyglądało to tak strasznie jak klatki dla małp w ZOO. Nie można było nawet równo usiąść, bo były trzy półki, dość nisko. To było niewygodne i upokarzające. Zawsze się zgłaszałam do noszenia wody, żeby trochę nogi rozprostować i żyknąć świeżego powietrza. Na jakiejś stacji za Nowosybirskiem, jak nosiliśmy wodę, zobaczyłam żelazne taczki, na których leżał trupek małej, może 3-letniej dziewczynki w kusej koszulince. Wyrzucili ją z jakiegoś transportu. Wieźli nas etapami od więzienia do więzienia. Najpierw w Swierdłowsku, na Uralu, nas kapali, bo strasznie nas wozy śarły. Odpoczęliśmy tam parę dni i pojechaliśmy dalej. Tam spotkałam w łaźni bardzo starego pana, siwutkiego jak gołąbek. Przypatrywałam się mu, aż odezwał się do mnie: "Dziewuszka, za czem wy tak na menia smotritie?" -

Mówią mi: - "Bo pan ładny jak święty Mikołaj z tą bielutką brodą." - "Widać, że Polka, bo jaka Rosjanka wie coś o świętym Mikołaju." - To był profesor z pietrogradzkiego uniwersytetu, który siedział - jak twierdził - od pierwszego dnia władzy radzieckiej. Zawieźli nas później do Nowosybirsku. Ze stacji prowadzili nas bezczynnymi ulicami do więzienia. Była już szarówka i śnieg skrzypiał pod nogami. Na ulicach było dość sporo ludzi, którzy stawali i przypatrywali się nam. Prowadzą nas, grupę więźniów, kobiet i mężczyzn, i nagle - co widzimy? Mężczyźni zdejmują czapki, a kobiety krzyżem prawosławnym się żegnają. To byli Sybiracy, potonkowie zesłańców, bardzo dobrzy ludzie. Jaki kontrast z tym powitaniem, które nas spotkało w Dniepropietrowsku.

Wieźli nas bardzo długo, bo nigdy wolnej drogi dla nas nie było. Dowieźli nas do Tajszetu, węzłowego miasteczka. To było już na Omskiem i Tomskim. Tam był główny zarząd obozów. Lekko tam już nie było, tylko tajga i kamieniołomy, tylko ciężkie prace. Zabrali nam nazwisko, dali numery. Miałam numer B-586. Numer musiał być na białym kawałku płótna, cyfry czarne, wysokości 10 cm. Nosiło się ten numer na plecach i na prawym kolanie na spodniach, tak że można go było widzieć z tyłu i z przodu. Tam była rozpoczęta budowa drogi kolejowej z Tajszetu do Bracka, było tego chyba 120 kilometrów wyciętej już tajgi. Było też już zrobione kilka kilometrów nasypu, po którym już jeździły małe parowoziki. Rozstawili nas w dużej tajdze, w miejscach, gdzie jedynie topografowie przeszli i wycięli na korze drzew napisy: "piataja kołonna" czy "szestaja kołonna". Dzielili tę trasę na 10-kilometrowe odcinki. 10 km dla kobiet, 10 km dla mężczyzn. Byliśmy tutaj ściśle izolowani od mężczyzn. Dochodziło nawet do tego, że gdy prowadzono brygadę mężczyzn, to kobiety kładli twarzą do ziemi,

Żebyśmy nie wiedziały, kto idzie. Mnie poprowadzili na miejsce, gdzie na korze drzew było wyryte: "Piataja kołonna". Konwój nam oznajmił: - "Zdiesz budiet' wasz dom!" - Same musiałyśmy ścinać drzewa, wykarczować pnie, postawić płot, obciągnąć go drutem kolczastym, później postawić strażnice na rogach obozu. Następnie stawiałyśmy koszary dla żołnierszy ochrony, domy dla rodzin oficerów. Wszystkie to robiłyśmy same, więźniarki. Dzisiaj potrafię tak pięknie toporem robić jak sawodowy cieśla. Gdy już postawiłyśmy baraki dla siebie i miałyśmy gdzie mieszkać, to poszłyśmy w las. Trzeba było wyrobić normę, a wiele kobiet było z miasta i nigdy topora czy piły w rękę nie trzymały. Brano dwie takie słabe kobiety i miały one zrobić dziennie 12 metrów sześciennych drewna. Na szczęście, to było dłużyzna - 6,5 m, 5,0, 4,5 m oraz kopalniaki na 2,8 m. To jeszcze można było zrobić, ale trzeba było mieć siłę. Nie było jednak innego wyjścia. Nie zrobisz normy, nie ma 600 gram chleba. Nie ma tego chleba, to jest głód i w następstwie śmierć głodowa. Ludzie ginęli tam jak muchy. Obozy ciągnęły się aż do Bracka i dalej za Angarą, w kierunku rzeki Leny. Przez te lata, które tam spędziłam, budowałyśmy linię kolejową, wioski, kina, przedszkola i mieszkania. Zrobiliśmy 300 km linii kolejowej od Tajaszetu do Bracka i jeszcze 180 km za Angarą w stronę Leny. Wszystko się tam robiło - linia przechodziła przez jary, góry, skały - własnymi rękami. Przez 6 lat nie widziałam tam ani jednej maszyny, ani jednego traktora. Nie widziałam żadnej maszyny oprócz oskawatora, którym się borowało dziury w skałach, żeby je potem wysadzać. Wszystko taoczka, kilof, łopata. W obozach, szczególnie na początku, dozór nie lubił Polak, zawsze trafiało się do gorszych robót. Szczególnie ciężko było, gdy konwój składał się z Ukraińców. Natomiast bardzo przychylnie byli

nastawieni Azjaci. Mówili: - "Wiemy, że wy jesteście ofiarami wojny, a nie przestępcami."

Cały czas w "OZIERLAG-u" spędziłam z piłą i toporem. Czasami byłam najsilniejsza w brygadzie, miałam 31-32 lata, nauczyłam się pracować, bardzo dobrze umiałam sobie radzić z toporem i piłą. Robiłam tam wszystko: kutałam konie, łątałam wojłoki, szylałam oficerskie mundury, domy budowałam, pielikałam, nieczystości wywoziłam. Wszystko umiem robić. Nauczycieli. Zawsze mówili: - "My was nauczym *rabotu* lubit'!" - Wiedziałam, że sama sobie mogę tylko pomóc - miałam już wiadomość, że mój mąż zginął 9 maja 1947 roku w obozie.

Kiedyś zdarzyło się tak, że trafiłam do najsilniejszej brygady. Pracowałyśmy dobrze, bo wiedziałyśmy, że trzeba zarobić na chleb. A tam - jak się dobrze pracuje - to chcą to jakieś wynagrodzić. Dali więc nam za to portret Stalina. Trzeba go było codziennie nosić ze sobą do roboty. Wyglądało to w ten sposób, że z jednej strony było wypisane, że to odznaczenie - "perechodiaszozyj szczyt", a z drugiej był portret Stalina. U dołu drątki, za które to się nosiło. Tylko, że nikt specjalnie nie chciał nosić. W brygadzie były nacjonalistki Litwinki, AK-ówki i Ukrainki-"banderówki" - sami wrogowie. Brygadzystką naszą była profesor z kowieńskiego uniwersytetu, Litwinka, pani Solipite. Trzeba więc było nieść w jednej ręce piłę i topór, a w drugiej ten wielki portret Stalina. Nie było chętnych do noszenia tego Stalina. W pierwszych dniach października, pamiętam, że już zimno było, przy wyprowadzaniu do pracy był moczelnik. Patrzy i pyta się: - "A gdzie perechodiaszozyj szczyt?" - Brygadzystka się zmieszala i zwraca się do nas: "Dziewczeta, wyście nie wzięły?" - Od razu nas zatrzymali, wyprowadzili inne brygady do pracy, a nas wszystkie zamknęli do BUR-u - "baraku usilennowo rezima". Tam były tyl-

ko ściany z cementu i jeszcze wilgoć na podłodze. Pieca żadnego nie ma. Wrzucili nas tam i od rana do 11 godziny w nocy nikt do nas nie przyszedł. Bez wody i bez jedzenia. Dopiero o 11 godzinie zaczęli wywoływać po trzy. Prowadzili do gabinetów naczelników i tam odbywało się przesłuchanie. Nasprawdzali tych oficerów śledczych czy to z Bracka czy z Tajszetu, nie wiem. Stosowali swoją starą metodę, jak zobaczyli, że ja jestem Polka, to mówili: - "Ty Polka, banderowcy was mordowali, to na pewno banderówka zrobiła, powiedz. Powiedza. Powiedz, że to banderówka!" - Do Ukrainek mówili: - "Co, Polki żałujesz? Ona by ciebie na pewno nie żałowała. To Polki zrobiły!" i tak usiłowali nas skłócić między sobą. Jak było na wolności tak było, ale tam była solidarność. Każda mówiła: "Niczego nie snaju. Niczego nie widział." - Nikt nic nie powiedział i wszystkie ukarali. Dali nam po 30 dni BUR-u i oodziennie chodziłyśmy do pracy zakute w kajdanach. Skuwali parami, w jednej ręce niesło się topór, a druga skuta. Szło się tak 8 czy 10 km, w zależności od tego, ile było do miejsca pracy. Tam dopiero rozkuwali. Normę trzeba było zrobić. Po pracy kajdanki na ręce i znowu do BUR-u. Stalina cały czas szukali, ale nie mogli go znaleźć. Nie dziwnego - on był drewniany. Tam, gdzie gotowali jedzenie, drzwi były stale otwarte, kotły tam stały potężne, paleniska jak w piekło. Ktoś tam wrzucił, kto - nie wiem do dzisiaj. Największa szkoda to to, że pani brygadziście dodali dwa lata wyroku.

Gdy byłyśmy nad Angarą, to zdarzał się mroz do -60°C . Co prawda, taki niedługo trzymał - dwa, trzy tygodnie. Jak było 45 stopni mrozu, to już do pracy nie wyprowadzali, bo żal im było konwoju. Ale barak trzeba było ogrzać, wody nanosić, drzewa narąbać. Robiły to te najsilniejsze brygady. A ja zawsze I kategoria i I kategoria.

Musiałe się więc na ten mróz wychodzić. To jest już taki mróz, że to, co się ma na sobie - to lód. Gdy się przychodziło do stołówki na śniadanie, to stoły były pokryte lodem i nie można było usiąść, bo miało się wrażenie, że siada się na lód. Stawało się z daleka, żeby odzież nie przymarzała.

Mówić teraz o tym jest łatwo. Ale jak sobie przypomnę to coranne przez tyle lat stanie na apelu ... 1500-1800 kobiet w obozie - jednej się nie mogą doliczyć. Trzymają godzinę, trzymają dwie. Człowiek zmęczony i straszny mróz. A w lecie jeszcze gorsza jak mróz była ta drobniotka muszka. Stój na apelu, a ona strasznie gryzała. Tubylcy mówili, że niedźwiedzia potrafi zagryźć. Konie i krowy tam wszystkie nieowłosione miejsca miały nasmarowane dziegciem. Myśmy się też smarowały dziegciem. W lecie trzeba było pracować, dawali nakomarniki, ale wtedy mało co się przez nie widziało. Ile przez to było wypadków! Ile kobiet poginęło! Ja też raz miałam wypadek, co prawda nie w lesie, ale przy budowie linii kolejowej. Ładowaliśmy wtedy na dwie platformy szyny. W nich są takie dziury do skręcania, wkładało się w te dziury żony żelazne i obracało się. Dziewczynie, która ze mną stała, żona się zerwał i mnie po uchu.... Pamiętam, że sakręciłam się, nawet nie wiem, czy mnie bolało. Ocknęłam się dopiero w szpitaliku na podłodze, trzy godziny byłam nieprzytomna. To ucho boli mnie do dzisiaj i chyba na nie gorzej słyszę.

Drugi raz miałam oparzone od słońca plecy. Wtedy też pracowałyśmy na linii kolejowej. Wycinało się w tajdze murawę i wkładało na odkosach, żeby zarosły. Słońce było bardzo silne, a te muchy nie lubią ubrania, więc pracowałyśmy tylko w staniach i spodniach. Plecy miałam tak sparsane, że lekarz skórę mi płatami odrywał w szpitaliku, a woda aż ciekła po nogach.

Leżałam wtedy z temperaturą tydzień na brzuchu.

Wtedy przekonałam się, że oni czekają na jakiegoś zmiany. Antykomuniści nie bali się nas Polak. Lekarz, Ormianin, pyta się mnie kiedyś: - "Jak ty się czujesz?" - A ja mówię: "Boże mój! Tak ciężko żyć, lepiej już byłoby umrzeć!" - On na to: "Ty, durnaja! Twój paragraf kiedyś za wielkie pieniądze kupować będą!" - To było jeszcze przed śmiercią Stalina, 1950 rok czy 1951.

Po raz trzeci chorowałam, gdy byłyśmy już daleko za Angara, za takim małym przystankiem Obwałnaja. Miałymy tam naczelnika pijaka. Wypił wszystkie lekarstwa robione na spirytusie, tak że na cały obóz został tylko jeden termometr. Karmili nas albo suszonymi albo mrożonymi kartoflami. Ten naczelnik przepił wszystko, cośmy miały jeść. Z wiosną, gdy śnieg zszedł, zbierali z pola zeszłoroczne kartofle, z których gotowali nam zupę. Tak nas satruli, że 600 kobiet leżało chorych na czerwone. Cały obóz zalany krwią. To było coś strasznego. I mnie to nie ominęło. Co dzień wieczorem chodzili i tych przeznaczonych na śmierć nakrywali z głową kocem. I mnie tak nakryli. Pomyślałam sobie, że przez noc już dojdę całkiem, a rano mnie wyniosą. Wśród nas była pielęgniarka z Charkowa, Ukrainka, Gala. To była bardzo dobra dziewczyna, ale mnie nie lubiła. Mówiła mi potem, że gdy usłyszała jak mówię, że ja jestem skazana i rano mnie wyniosą, to zrobiło się jej żal mnie. Chciała coś zrobić, żeby mi ulżyło w tej ostatniej drodze. Walała do grzałki gorącej wody, położyła mi na brzuch, owinęła kocem i zawiązała drugim z głową. Niech się dzieje wola Boża. Rano przychodziły wynosić trupy, zdejmują ze mnie koc, a ja otwieram oczy. Sanitariuszka krzyczy: - "Ona żywa! ona żywa!" - Jakiegoś przesilenie miałam wtedy w nocy, może to ciepło tak pomogło, a może po prostu

miałam być. Ta pielęgniarka już nie odstępowwała wtedy mnie. Co jakieś lekarstwo dostała, jakieś suchary, to od razu mi przynosiła. Byłam wtedy strasznie, strasznie głodna. Już czułam się trochę lepiej, byłam silniejsza, tak że mogłam sama siadać i kiedyś zasnęłam. Usnęłam twardo i óni mi się kasza gryczana. Taka jak u nas na wsi w glinianych miskach, te krupki takie duże i ze skwarkami, taka tłusta. Musiała być bardzo dobra, łapię za łyżkę ... i w tym momencie Gała łapie mnie za rękę: - "Stasia! Stasia! wstawaj, lekarstwo trzeba wypić!" - Ja w płacz. Jak ja strasznie płakałam, nie wiem, czy na pogrzebie rodzonej matki bym tak płakała. Pielęgniarka pyta: - "Co się stało? Czy się pogorszyło?" - A ja mówię: "Ty mnie kaszy nie dajesz zjeść!" - Głód to straszna rzecz.

Na jednej przychyty spała ze mną żona ministra. Jedną piłą ciągnęłam z nią las. Żona ministra finansów Białoruskiej SSR, Antonina Basowa. Mówiła, że męża aresztowali za jakieś "wredicielstwo", jakie popełnił w powojennej pięcioletce. Zabrali go. Miała szwagra generała NKWD i on nie potrafił się dowiedzieć, gdzie jest jej mąż. Nie wiedziała nawet, czy żyje czy został zabity. Rok po jego aresztowaniu była jeszcze na wolności, nie ruszali jej. Po roku, gdy syn skończył 18 lat, to zabrali ją i syna i oboje zostali skazani jako członkowie rodziny. Za Chruszczowa tę Tonię uwolnili. Przesłała mi nawet list na zesłanie: - "Z tej delegacji wracam całkiem czysta." - tak, że ją rehabilitowali, że spotkała się z mężem i synem i że są w Soczi. - "Ale tych osen, któreśmy obie piływały, to już nie posadzi nikt." - zachwiali w niej wiarę w ten ich cholerny system.

Ostatni rok przed śmiercią Stalina było prawie nie do wytrzymania. Było tak strasznie ciężko, że nie da się tego opowiedzieć. W naszej brygadzie, tych silnych, zarządzili, że

będziemy 16 godzin pracować, a 8 godzin odpoczywać. Chodziliśmy wtedy do lasu ładować spiłowane drzewa. Był mróz, drzewo jest wtedy bardzo śliskie. Cztery babki miały ładować pnie modrzewii o metrowej średnicy i długie na 6,5 metra. Myśmy musiały 280 metrów sześciennych załadować przez te 16 godzin. To już było prawdziwe piekło. Tak szczęście długo tak ciężko nie pracowały, chyba ze trzy miesiące. Już padałyśmy. Pierwszy raz się wtedy załamalam. Miałyśmy 8 godzin "wypoczynku" - w tych 8-miu godzinach trzeba było przyjść z pracy, obmyć się, zjeść, troszkę pospać i znowu dojść 12 km. Raz jeden jedyny byłam tak zmęczona strasznie, że łyżki do ust nie mogłam podnieść. Przyszliśmy do stołówki, wzięłam łyżkę i ... nie podniosłam. Od początku, od chwili aresztowania jednej łyzy u mnie nikt nie widział, a wtedy polały mi się. Odwróciłam się do ściany tylko, żeby mnie nie widziały inne Polki. Bo jak Stasia się martwi, to znaczy, że coś złego jest. Zawsze miałam jakieś "chody", nauczyłam się szybko po rosyjsku i zdobywałam różne wieści, a nieraz to kłamałam. Dzisiaj to nawet jest mi trochę głupio. Np. siedziała ze mną taka pani Kisielewska. Zostawiłam domu pięcioro dzieci, najstarszy 17 lat. Mąż dostał wyrok 25 lat i ona dostała 25 lat. Strasznie płakała zawsze. Mówię jej: - "Kisielewska, nie płacz, bo prędzej pójdziesz do domu niż ja." - "A skąd pani wie?" - "Bo słyszałam ... bo mnie mówili ..." - kłamałam najbezczelniej w świecie. Co najdziwniejsze - to się sprawdziło. Ona pierwsza poszła do domu, przysłała mi listy i zdjęcia spod Wilna, stamtąd pochodziła. Ich sprawę jako jedną z pierwszych rozpatrzyli po śmierci Stalina.

Była też wtedy bardzo zaostrzona dyscyplina, za byle co karali. Kiedyś skończyłyśmy pracę i stałam w pierwsz^{ej} ozwóroce, stałam jako druga.

Jako czwarta, na kraju, stała taka kobieta z Charkowa. Na imię jej było Frosia, z zawodu była nauczycielką, nazwiska jej nie pamiętam. Wiem, że zostawiła w domu dwoje dzieci. Miała już za sobą 8 lat obozu, zostało jej jeszcze dwa lata do końca wyroku. Może spragniona była, może głodna - pochyliła się i chciała zerwać sobie kilka borówek. Konwojent strzelił i zastrzelił ją. Kiedyśmy ją przynieśli do obozu, to w ręce miała zaciśniętych jeszcze kilka czerwonych jagódek. Powiedzieli, że chciała uciekać. Kto by stamtąd uciekł? - bez pieniędzy, bez dokumentów, bez dróg.

Nie można było pisać, nie można było mieć drukowanego słowa - byliśmy nie ludzie a numery. Dopiero jak on zdechł - krótko mówiąc - nastąpiło odprężenie.

Utkwił mi w pamięci dzień jego śmierci. Pracowałyśmy wtedy w lesie. Robiło się to tak, że dostawało się np. 10 ha lasu. Najpierw trzeba było wyciąć dookoła przesiekę. Na niej stawał konwój, co 50 metrów jeden żołnierz siedzi. Trzeba im było palić ogniska cały czas. Pilnowali oni, żeby nikt nie wyszedł z tego obszaru /"dzielanki"/, gdzie miałyśmy piłować. Oni nie mogli wstać i zejść z tego posterunku, bo za to dostawał 3 miejsca 10 lat. Padał piękny śnieg. Ja paliłam ogniska. To była ciężka praca, palić kilkanaście ognisk. Trzeba było napilić drzewa i podtrzymywać stale duży płomień. W pewnym momencie lecę z drzewem do ogniska i widzę, że jeden konwojent biegnie do więźniów, drugi, trzeci. Myślę sobie: - "Boże! co się dzieje?" - bo nawet gdyby kogoś zabito, to oni nie mieli prawa zejść ze swego miejsca. Biegnie ten konwojent. Niewiele myśląc rzuciłam to drzewo i puściłam się za nim. Przybiegł do środka tego kawałka lasu, rzucił się na naszą brygadierkę - Tosię - objął ją i krzyczy: - "Podoch sukinsyn! Podoch swołocz!

Tiepier i wan i nam budiet' žuossel!" - Pytam się go: "Naczalnik, kto podoch?" - "Ta Stalin!" - Rzucili się ściskać te dziewczyny, kręcą się z nimi, jeden kopie jakieś butki - radość była nie do opisania.

Bardzo szybko potem odbywał się jego pogrzeb. 3-go marca zmarł, 5-go go chowali, jak najprędzej chcieli się go pozbyć. Wtedy w barakach zaczęli zbierać. Byłam wtedy blisko Bracka, przed Angarą, parowoziki już kursowały po tej linii. Zjechały trzy parowoziki i uruchomiły syreny. W każdym baraku było po dwóch nadzorców, którzy w tym momencie zakomenderowali: - "Baczność!" - Trzeba się było słuchać, więc stoją. W moim baraku były kobiety aresztowane za wiarę, tak o sobie mówiły: - "My wieruszozyje." - Ciekawe było, za co je aresztowali. Jedna z nich mi to wytłumaczyła: - "Księża prawosławni, owszem, są. Ale księdzem zostaje tylko taki, który ma dwa lata służby w NKWD. Jak idą ludzie do spowiedzi, to on później to wszystko donosi." - Siedziała ze mną kobieta, którą własny mąż doprowadził do 15 lat katorgi. Dowiedziała się, że ludzie, którzy chodzili do niego do spowiedzi, zostali później z tego powodu aresztowani, on ich wydał. Mówiła innym: - "Nie chodźcie do niego do spowiedzi - to zdrajca, to enkawudzista!" - On postarał się, żeby ją zamknęli. Zginęła w obozie, zostawiła w domu dwoje dzieci. Te kobiety mówiły, że były się chodzić do cerkwi i modliły się w prywatnych domach, za to były aresztowane. W obozie bardzo się żęcali nad nimi.

W moim baraku było ich kilka. Wszystkie stoją "na baczność", a one pokłękają i zaczęły się modlić. Dopiero jak syreny przestały wyc, podchodzi do nich nadzorca i krzyczy: "Dlaczegoście "na baczność" nie stały?!" - One na to: - "Przecież zawsze modlimy się na kolanach. A on taki grzeszny, taki grzeszny - za niego trzeba się bardzo wiele modlić." Już nie więcej im nie powiedział.

Po śmierci Stalina było tak: Miałymy do tej pory na oknach kraty, miałymy w drzwiach zamki; chodziło się tylko do pracy, z pracy, do stołówki, do latryny i od razu drzwi zamykano na klucz. Z baraku do baraku nie można było przejść. Listów pisać nie można, żadnej prasy, żadnej książki, żadnego instrumentu. Bardzo ostra dyscyplina. 300 par kajdanek w obozie. Za byle co, za najmniejsze przewinienie stosowano kajdanki. Jak już go pochowali, a jeszcze przed 1-szym maja, jeszcze w kwietniu, przyjechał pułkownik i paru innych wyższych oficerów, zebrałi nas wszystkie w stołówce i powiedzieli tak: - "U was będzie teraz wielka zmiana. Przede wszystkim zdejmiecie numery, spalcie je, zapomnijcie, żeście kiedykolwiek te numery miały. Po drugie: w tej chwili zdejmiecie kraty z okien, zerwijcie zamki z drzwi. Kajdanki zostaną w tej chwili wyniesione z obozu, żeby o tym nikt nie pamiętał, że coś takiego było. Dwa razy w miesiącu piszcie listy, jeżeli macie do kogo. Dostaniecie gazety, dostaniecie książki, instrumenty muzyczne. Dwa razy w miesiącu będzie przyjeżdżać do was kino, bez względu na to, czy zrobicie normę, czy nie zrobicie, dostaniecie normę 700 gramów chleba. Ludzie po 50-tych, szczególnie kobiety, do lasu do pracy wychodzić nie będą." Wtedy pojawiła się nadzieja, że może Bóg się zmiłuje i kiedyś wrócimy do Polski. Była z nami poetka, która napisała m.in. piękny wiersz o choince: - "Wciąż wierzymy, że dzieją się cuda, że się skończy to życie tułaczne i że w którąś znów Wigilię siądziem razem pod choinką, którą kupisz w wesołym, pięknym ranek u przekupki lwowskiej na rynku."

Byłam zawsze pogodna, nigdy się nie skarżyłam, nie miałam starć. Było ciężko nieraz i to ja - optymistka z urodzenia - ile miałam nocy nieprzespanych ze strachu, że jutro nie dasz

rady normy zrobić i jutro nie ma chleba. Nie ma chleba - jest śmierć głodowa. A tak się chciało żyć! Tak się chciało wrócić do Polski! Wtedy od współwięźniów dostałam wiadomość, że mąż zginął.

Te wszystkie zapowiedzi rzeczywiście były stosowane. Później zaś zebrała się specjalna komisja, która jeździła po obozach. Przeglądała te sprawy - "liczyły ciała" /jak to oni mówią/ i kto nie był winien zabójstwa, szedł na zesłanie. Do domu nie puszczali, ale z obozu szło się na zesłanie. Wiele osób popuszczali. Mnie też zwolnili.

Były tam też inne Polki. Była żona sędziego z Wilna, pani Irena Huzar, z Warszawy, Żydówka, pani Komornicka, bardzo kulturalna. Żona majora z Wilna, pani Laszczyk z córką Lilią. Bardzo przyjaśniłam się z panią Anielą, Dziewulską z Wilna. Byłam z nią 5 lat. Ona też pracowała jako cieśla, a z wykształcenia była astronomem. Grażyna Lipińska z Warszawy, która pisała bardzo piękne wiersze. Napisała nam "Mszę świętą więzienną", wiersz o choince i inne. Bardzo kulturalna i mądra pani, taterniczka.

Zbierałyśmy się nieraz, bośmy nabożeństwa majowe odprawiały zawsze wszystkie razem. Siadało się gdzieś za barakiem albo w takiej budzie, gdzie suszyli onuce i buty. Modliłyśmy się. Nie przeszkadzał nam nikt. Nadzorca udawał, że nie widzi. Ich to specjalnie nie obchodziło. W Wielkim Poście robiłyśmy rekolekcje. Schodziłyśmy się też zawsze na Boże Narodzenie, szczególnie po śmierci Stalina, kiedy już można się było zebrać w jednym baraku. Ukrainki, nawet "banderowki", stały przy drzwiach, żeby uważać na to, czy idzie jakiś porządny, czy zły nadzorca. Wśród nich znajdowali się tacy jak kapitan Safargaliew. On mówił mi: - "Ty wiesz, przekonałem się, że wiary Chrystusowej nie da się zwaloczyć. Jak będzie Pascha

/tzn. Wielkanoc/, przyjdę do waszego baraku. Gdy przychodzę do was, zawsze mówię: "Zdrastwujcie dziewczuszki!" i odpowiada mi dziesięć albo piętnaście. Zobacysz, jak mi odpowiadają, kiedy powiem: "Chrystos woskres!" - Nadeszła Pascha i on przyszedł. "Chrytos woskres! dziewczuszki!" - "Istynno woskres!!!" - aż szyby zadźwięczały, każdy odpowiedział, czy to Żydówka, czy Rosjanka, każdy.

Pelek w stosunku do ilości innych więźniów było mało. Obóz miał zwykle 1500-1800 osób, a w tym Pelek było 12-14. Litwinów było więcej, choć Litwa przecież dużo mniejsza, trzy milionowe państewko. Niesamowicie, jak ich wyoszczędzili, w jednym obozie było po 20 Litwinów. W ogóle można się było uczyć różnych języków. Było sporo Finów z terenów zabranych Finlandii, Łotyszki, Estonki. Była ze mną Norweżka, Włoszka, Francuzka Dżipsi, bardzo fajna dziewczyna, która nie chciała pracować. Naczelnik mówi do niej: - "Rabotaj! Ty znajesz, chto Stalin skazał: kto nie rabotajet, tot nie kuszajet!" - a ona mu na to, że: "We Francji to mówi się: kto nie je, ten nie pracuje" i dalej nie nie robiła. Były Czeszki, Węgierki, Rumunki. Pamiętam Węgierkę Lalę, primabalerinę, która zmarła mi prawie na rękach, na białaczkę. Były Japonki, Koreanki, Chinki.

Dwa razy widziałam zorzę polarną. To wspaniałe zjawisko. Strachem przejmuję, aż dreszcz przechodzi. Takich kolorów nie można wymyśleć, jakie ta zorza daje. To nie jest kłosa taka, jak np. od pożaru. Ma się wrażenie, że jest się w wielkim, bardzo wysokim, gotyckim kościele, stuliste łuki do góry i te promienie drgają. Ułożone w pasy, jak fiolet, to z dziesięciu tych odcinków, zieleni tak samo, czerwone, złote, pomarańczowe. Ależ to cudowne zjawisko i straszne, groźne.

Tam, w obozach, człowiek robi się jakiś tępy. Zabijają wszystko, co ludzkie, w człowieku.

Jak komuś złamało rękę lub nogę, to myślało się: "Oj, dzięki Bogu! Jaka ona szczęśliwa, choć trochę sobie odpoczniesz!" Do tego człowiek doszedł, żeby się cieszyć, że ktoś rękę złamał i zazdrościł, że to nie ja. Oni się właśnie o to starali, żeby z człowieka zrobić bezwolne narzędzie.

Pewnego dnia w listopadzie, już po śmierci Stalina, przyszło zawiadomienie, że zostałam zwolniona z obozu. Zabrali nas kilkoro i mimo, że wszystkich zwolnionych kierowali na zesłanie do Krasnojarskiego Kraju, to ja zostałam na trasie Tajszet-Brack. Wybrali nas 15 osób, 7 kobiet i 8 mężczyzn, i skierowali do posesiołka Oktiabrskij /budowałam tam domy będące w łagrze/. Tu znów przyszyły mi na pomoc moje zdolności krawieckie. Trafiałam na bardzo dobrych ludzi. Miałam ochody u komendanta /byłam jedyną krawcową na 13 tysięcy ludzi/ i dawał mi prze pustki na wyjazdy do Irkucka. To było 320 km na zachód. Gdy pierwszy raz przyjechałam do Irkucka, to poszłam do cerkwi. Widziałam tam trzy, ile ich wszystkich było to nie wiem. Pierwsza, piękna, leżąca nad samą Angarą była zamieniona na obserwatorium astronomiczne. Druga była składem meblowym. Trzecia, nalenka, ale leżąca w centrum miasta, była czynna. Poszliśmy tam i trafiliśmy akurat na Niedzielę Palmową. Był tam jeden "batiuszka" i jeden diakon. W 1957 roku byłam w niej powtórnie i przy ołtarzu było już 10 księży - prawdopodobnie zwolnionych z obozów.

W Oktiabrskiej mieszkaliśmy w drewnianych domkach. Były one podzielone na cztery mieszkania. Ściany były z desek wypełnione w środku strużynami. Jak taki domek się zapalił, to płonął tylko 20 minut i nie było dla niego żadnego ratunku. Było w nich jednak bardzo ciepło. W zimie w tym domku chodziłam w bluzce z krótkim rękawem.

Pracowałam w pracowni krawieckiej, gdzie zrobili mnie "za-wiedujuszczej", to była szucha. Powodowało mi się tam nie naj-gorszej, tak że mogłam już pomagać innym. Jak wspominałam, by-ło nas tam skierowanych 15 osób. Przyjechalśmy w nocy. Rano wezwał nas komendant, enkawudzista. Przedstawił się i powie-dział, że musi nam znaleźć pracę i mieszkanie. Zapytał, kto co umie i kto co chce robić. A wśród nas był Marek, lekarz, Żyd z Austrii, była pielęgniarka z Czech, jakiś weterynarz, jakiś inżynier. Bardzo dużo inteligencji. Wszyscy mówią, a ja siedzę w kątku. W końcu on patrzy na mnie i mówi: "A wy, Do-browolska, chto umiejete?" - Odpowiadam: "Ja biedna, ja port-nieha." - Komendant wtedy stwierdził, że tutaj dobrze będzie żył nie inżynier czy lekarz ani weterynarz, a właśnie krawco-wa. Powiedział, że samochód zaraz nas odwiezie do "obszeczety-tia". - "A wy, Dobrowolska, ostańcie." - Zostałam, nie wiedząc o co mu chodzi. Tymczasem on mi mówi, że wszyscy będą mieszkać w baraku dla robotników, gdzie się dzieją straszne rzeczy. Obiecał, że poszuka mi mieszkanie, ale we jedną noc muszę spę-dzić w tym baraku.

Dojechaliśmy do tego baraku i wszyscy się popili. Mnie też dali wódki. Ja nigdy nie piłam. Dali mi troszeczkę tej wódki, jakiegoś samogonu, nazywali to "licsnaja skazka", i zatrulałam się. Miałam straszne teraje. Zaopiekowała się mną Natasza, która była tam dozerczynią. Przez całą noc robiła mi zimne okłady. Rano nie mogłam się podnieść, całą noc teraje i bie-gunka. Przyjechał ten naczelnik. Pyta się: "Gdzie Dobrowolska?" Natasza mówi: "Oj, Naczelnik! Ona pomirajet'!" - On się prze-straszył, bo chyba podejrzewał, że mnie zgwałcili. - "Chto skucziloś? Chto skucziloś?" - "Naczelnik! ona pit' nie umiejet, a jej wodku dali!" - "Stawa Bohu!"

Znalazł mi pokój u dyrektora fabryki. Sawkuła, wielki antykomunista, dwóch jego szwagrów zginęło w obozach, wychowywałich dzieci. On wraz z żoną przyjęli mnie bardzo serdecznie. Skierował do swojej fabryki, produkującej traktory. Byłam zapisana jako "szwernik", ten co szyje poduszki na siedzenia traktorzysty. Od razu mi powiedział, że to dla pozoru, ma być dla siebie, żeby zarobić. Wypuszczali - góra - dwa traktory na miesiąc. Jego żona zamawiała u mnie i przyprawiała koleżanki. Pierwszą moją pracą było uszycie sukienek dla córeczek. Redzice poszli do pracy, a ja z materiału, który od nich dostawałam, uszyłam sukieneczki po polsku. Został mi kawałek materiału, z którego zrobiłam kokardy. Użyłam te dziewczynki, uosabiałam i ubrałam. Gdy przyszli z pracy, to żona dyrektora zawołała: "Mespedi! Toż to polskie dzieci!" - Byli oboje zachwyceni. Szyłam u nich dziesięć dni - prawie bez przerwy, ale już jedenastego dnia mogłam sobie kupić na własność maszynę do szycia - 600 rubli. Później miałam taką klientelę, że mówiono: "Do diabła prędzej się dostanie niż do Stanisławy, żeby coś uszyć!" - Tam nie można było kupić, a ja miałam wszystko. Ekspedientka w sklepie ukradła i mi przyniosła, żebym coś jej uszyła. Na zesłaniu już tak ciężko mi nie było.

Będąc na zesłaniu odwiedziłam kiedyś Dom Dziecka. Zobaczyłam tam 4-letniego chłopczyka. Kierowniczka powiedziała, żebym zapytała, kim on jest? Zapytałam się po rosyjsku: "Kto ty taki?" - On stanął na baczność, wyprężył się i odpowiedział: - "Polak. Katolik. Krzys." - 4-letni chłopczyk. On tam został. Kierowniczka nie wiedziała nic o losie jego rodziców.

Dowiedziałam się, że p.Józef i inni z naszej sprawy, którzy byli na Workucie, wyjechali do domu. Jak oni wyszli na zesłanie to pisywali do mnie, tak że wiedziałam co się z nimi dzieje. Pojawiała się nadzieja na powrót do Polski.

Najprzód posyłałi starych, niezdolnych do pracy. Zesłańców, którzy nie byli karani. Rodziny wysiedlone. Tych zdrowych i silniejszych starali się zatrzymać. Gdy jakaś Polka była zamężna za Rusinem /lub Polak ożeniony z Rosjanką/ też wysyłałi. Trzeba było przed wyjazdem wypełnić ankietę. Były tam pytania o rok i miejsce urodzenia, początek i koniec wyroku. Było w końcu pytanie: "Kogda pryniała sowietskoje grażddaństwo?" - Ja to skreśliłam, bo nie przyjmowałam nigdy "grażddaństwa". Wszysey już jadą, a dla mnie wciąż nie ma papierów. Nie ma i nie ma. Nie wiedziałam, co jest? W końcu z jeszcze jednym zesłańcem, Kałincowskim, pojechaliśmy do Irkuucka, do OWIR-u. Pytają się mnie: "Po kakomu diełu?" - Mówię, że pięć razy wypełniałam już papiery i wysyłałam je do nich, bez żadnego efektu. - "Dlaczego nie puszczacie mnie do Polski?" - "Wy płocho ankietu wypełnili." - "Poczemu płocho? Czto płocho?" - "Nie napisaliście, kiedy przyjęliście sowieckie obywatelstwo." - "Naczalnik! Pamiętam, jak mnie aresztowali, pamiętam, jak pracowałam, jak głodowałam, wszystko pamiętam. Gdybym przyjęła wasze obywatelstwo, to by był wielki "prazdnik" u mnie, ja bym pamiętała ten dzień do końca życia. Kiedy to było? Tego nie było. Wszystko pamiętam, a tego nie pamiętam." - Ten pułkownik mówi wtedy do mnie: "Pokariteś Dobrowolskaja! jeszcze adin raz - pokariteś!" - "Dlaczego? Aresztowaliście, bo Polka, a jak do Polski trzeba puścić, to nie wiecie - Polka czy nie Polka? Jadę! bez pieniędzy, bez dokumentów - jadę do Moskwy! Ja nie kosmopolitka! Ja mam swoją ojczyznę, swoją ambasadę i tam przedstawię swoją sprawę. Wy myślicie, że daleko do Moskwy, to wam wszystko wolno?!" - Właśnie w tym czasie wyświetlano ten film: "Daleko od Moskwy", w którym pokazywano jak na prowinoji wykorzystuje się ludzi. - "Niet, naczalnik! daleko ot Moskwy, no nie lzia walewo diełat'."

Oni się chyba wystraszyli, że jestem baba pyskata i rzeczywiście do tej Moskwy pojedę. Po trzech dniach przysłali mi zezwolenie na wyjazd.

Wracalam razem z Kalinowskim, byłym żołnierzem Andersa, pochodzącym gdzieś spod Stanisławowa. Trzeba było od nas jechać dzień, noc i pół dnia do węzłowej stacji, do Tajszetu. Przyjechalismy, a tam tłumy ludzi, którzy konają oczekując na pociąg. Bez potwierdzenia biletu nie wpuszczali do pociągu. Można było i tydzień siedzieć na dworcu. Musielismy też zarejestrować bilety. Poszłam od razu do dyżurnego ruchu i mówię mu: - "Ja innostranka i jedu na rodzinu." - "Pożalysta! Pożalysta!" - Załatwił wszystko bez żadnych problemów, od razu przybił pieczętki. A jaki stosunek miał do nas? A ja jeszcze pamiętałam, jak to było, gdyśmy przyjechali - pierwszy, drugi rok naszego pobytu. Jak tylko konwojenci się zorientowali, że więźniarki to Polki, to nie było co narzyć o lżejszej pracy. Szczególnie źle nastawieni byli Ukraińcy. Natomiast najbardziej przychylni - Amjaci. Mówili nam, że dobrze wiedzą, że nie jesteśmy żadnymi przestępcami, a jedynie ofiarami wojny.

Z Tajszetu jechalimy pociągiem pośpiesznym Pekin-Moskwa jeszcze pięć dni do Moskwy. Przyjechalimy do Moskwy. Miałam trochę pieniędzy. Znajomi Rosjanie przynieśli mi obligacje pożyczki państwowej, które mogłam wymienić przy wyjeździe. Z tego miałam trochę rubli, nawet dość dużo. Postanowiłam obejrzeć Moskwę. Przyjechalimy na Dworzec Białoruski, poszlimy do taksówki i kazalimy się zawieźć do ambasady polskiej. To też było wrażenie: potężny gmach z czerwonej cegły, szeroka brama a nad nią bielusiński orzeł. Było to dla nas jak cud.

Przed ambasadą stało dwóch ruskich młojców, podchodzą i pytają: - "W ozom dzieło?" - Mówię, że w sprawie repatriacji. Otworzyli nam drzwi i wchodzimy w bramę.

Z dyżurki wychodzi ktoś i mówi po polsku: - "Dzień dobry, Państwu! W jakiej sprawie?" - Tłumaczymy, że jedziemy z Syberii, w sprawie repatriacji, że nie mamy gdzie mieszkać. On mówi, że wszystko przygotowane, hotel mamy zarezerwowany. Dostaliśmy bezpłatne skierowanie do hotelu. Hotel był na Lenińskich Gorkach, koło uniwersytetu im. Lomonosowa. Taka sama budowla jak nasz Pałac Kultury. W hotelu tym po raz pierwszy w życiu zobaczyłam odkurzacz i telewizor. W Moskwie zatrzymaliśmy się osterey dni, żeby trochę pozwiedzać. Potem wyjechaliśmy do Białej Podlaskiej. Podróż trwała noc i dzień, aż wreszcie przekroczyliśmy polską granicę. Już Polska, ale jaka ta Polska?...

Nie wiedzieliśmy nic, co się w tej Polsce dzieje. Miałam taki wypadek. Przyjechał kiedyś do obozu nowy nadzorca. W eleganckim nowym mundurze oficerskim, ale bez dystynkcji. Mówił, że był kapitanem, lotnikiem, zdegradowanym do szeregowca. Przebywał przed aresztowaniem w Polsce i gdy dowiedział się, że jestem Polką, opowiadał mi: "... tam takaja demokratija idiot, esto połnyje tiurny."

Później jednym z naselników był Isatulin, Tatar. Kiedyś usłyszał, jak chwalił Polaków twierdząc, że u nas ludzie lepsi - człowiek z odległości idealizował te stosunki w kraju. On mówi na to, że w Polsce nie jest tak słodko i opowiada mi co UB wyczynia. Nie wierzyłam mu, twierdziłam, że to nieprawda. On przyszedł kiedyś do mnie do baraku i powiada: - "Proste z Warszawy przyjechała więźniarka do naszego obozu. Chodź! ona ci powie, co się w Polsce dzieje, to nie będziesz się ze mną kłócić, że to nieprawda." - Zaprowadził mnie do niej i mówi: - "Poznakontieś, eto ziemlaczka." - Przywitałam się i pytam, czy to prawda, że przywieźli ją z Polski? Ona odpowiada: "Tak, proste z Warszawy." - "To niech pani powie, ale szczerze, co się dzieje, bo takie wiadomości do nas dochodzą, że po prostu

nie chce się w nie wierzyć." - "Proszę pani, jak siedziałam w więzieniu, to od jęków zwarciwać było można. Jak biją, jak mordują - swój swojego. Przecież tam nie można się przyznać, że było się w AK." - Pomyślałam, że ona kłamie. Trudno było w to uwierzyć. Przecież mordowali banderowców, aresztowali Niemcy, aresztuje NKWD - a tam swój swojego ma bió? Zaczęłam mówić znajomym paniom, że to prowokatorka, ktoś nastany, że to niemożliwe, aby uszcziwa Polka takie rzeczy opowiadała. Dopiero jak przyjechałam i dowiedziałam się co się dzieje, uwierzyłam.

Przyjechaliśmy do Białej Podlaskiej. Tam nas wykopali i wciągnęli do rejestrów. Stamtąd pojechałam w Szczecińskie do brata. Tam krótko mieszkałam. Trzeba było sobie życie od nowa układać. Już na zesłaniu dowiedziałam się, że synek zginął od wybuchu niewypału, a w dwa miesiące po nim zmarła moja matka, która zgryzła się tym, że go nie dopilnowała. Cóż ona mogła? - jak miała wtedy 84 lata, a chłopczyk miał 7 lat. Byłam sama. Jakos mi się udało i dzisiaj nie narzekam. Mam wielu przyjaciół, dobrych ludzi.

Jednego tylko bym chciała - wolnej Polski dozekać, bo za to się tyle wycierpiało.

Indeks osób do relacji p. Stanisławy Dobrowolskiej.

- I/ Kazimiera Bajdak - żołnierz AK w Podhajcach, aresztowana przez NKWD późną jesienią 1944 r. Od I. do IX. 1945 więziona w Czortkowie. Skazana w procesie grupy AK z Podhajec w sierpniu 45 r. na 10 lat ITŁ. Od IX. 1945 r. w więzieniu "peresylnym" w Dniepropietrowsku.
- 2/ Władysław Bajdak - nauczyciel w Podhajcach, żołnierz AK. Losy jak I/.
- 3/ Antonina Basowa - żona ministra finansów BSSR, więźniarka Ozierka w latach 1948-53. Zrehabilitowana wraz z rodziną po śmierci Stalina.
- 4/ Basow - mąż 3/, więzień Łagrów.
- 5/ Basow - syn 3/ i 4/. Aresztowany po uzyskaniu pełnoletności za winy ojca.
- 6/ Nora Bauman - jak I/.
- 7/ Bauman - ojciec Nory. Żołnierz AK w Podhajcach, aresztowany wraz z córką. Zmarł w 1945 r. w więzieniu w Czortkowie.
- 8/ Brudeko - siostra zakonna, w szpitalu w Podhajcach, niezaprzyjęta współpracowniczka AK, losy jak I/.
- 9/ Danikow - Żyd, enkawudzista w więzieniu w Czortkowie w 1945 r., specjalista od katowania więźniów.
- 10/ Józefa Dąbrowska - komendantka WSK AK w Podhajcach, wydała Sowie-
tom grupę kobiet z konspiracji /m.in. autorkę rel./
- II/ Stanisława Dobrowolska - autorka relacji, urodzona 5.VII. 1913 r. w Nowosiólkach pow. Podhajce, woj. Tarnopol, żona Wincentego. Żołnierz AK w Podhajcach. Aresztowana w pocz. grudnia 1944 r. przez NKWD, zwolniona po 3 tyg. Ponownie aresztowana 3.I. 1945 r. Od początku stycznia do pocz. września 1945 r. w więzieniu w Czortkowie. Skazana pod koniec sierpnia 45 r. w procesie grupy AK z Podhajec w Czortkowie na 10 lat ITŁ. Od IX 1946 r. do pocz. I. 1946 r. w więzieniu "peresylnym" w Dniepropietrowsku. Styczeń 1946 - 1948 łagier w Mołotowie na Uralu. 1948-53 różne obozy Ozierka. 1953 - 1956 na zesłaniu w posiołku Oktiabrskoje na linii kolejowej Tajszet - Brack. W 1957 przyjazd do

Polski. Mieszka w Jeleniej Górze.

- 12/ Wincenty Ludwik Dobrowolski - żołnierz AK w Podhajcach, aresztowany późną jesienią 1944 r. Skazany w procesie czortkowskim na 15 lat KTR. Zginął 9.V. 1947 r. w łagrze na Warkucie. Mąż autorki relacji.
- 13/ Aniela Dziewulska - astronom z Wilna, więźniarka Ozierłagu w latach 1948-53.
- 14/ Czesław Gaiczek - jak I/. Skazany na 20 lat ~~KTR~~ KTR w sierpniu 4!
- 15/ Jadwiga Galusińska - jak I/. Skazana na 10 lat ITŁ. IX. \$5 rs.- I. 1946 r. więzienie w Dniepropietrowsku. Od I.46 w obozie Mołotow /Perm/ na Uralu, później w innych łagrach uralskich. W 1948 r. wyjechała do PRL.
- 16/ Henna Hipsz - jak I/ i potem I5/.
- 17/ Irene Huzar - z Wilna, żona sędziego, więźniarka Ozierłagu w latach 1948-53.
- 18/ Isatulin - Tatar, naczelnik jednego z obozów Ozierłagu w latach 1948-53.
- 19/ Jamnicki - st. lejtn. NKWD. Żyd urodzony w Baranowiczach. Naczelnik "peresyłki" w Mołotowie w 1946 r.
- 20/ Stanisław Kalinowski - społ Stanisławowa, żołnierz armii gen. Andersa. Zesłaniec w Oktiabrskoje w latach 1953-54.
- 21/ Kisielewska - spod Wilna, skazana na 25 lat obozu, więźniarka Ozierłagu w latach 1948-53. Amnestionowana w 1953 r.
- 22/ Kisielewski 9- mąż 21/. Skazany na 25 lat łagru.
- 23/ Komornicka - Żydówka z Warszawy, więźniarka Ozierłagu w latach 1948-53.
- 24/ Krawcow - śledczy NKWD w więzieniu w Czortkowie w 1945 r.
- 25/ Leszczyk - żona najora z Wilna. W latach 1948-53 więźniarka Ozierłagu.
- 26/ Lila Leszczyk - córka 25/. Losy jak matka.
- 27/ Leszek ze Lwowa - zmarł na "peresyłce" w Mołotowie w 1946-48.
- 28/ Grażyna Lipińska
- 29/ Zbigniew Lis - komendant AK w Podhajcach, losy jak I/. Skazany na 20 lat KTR. Aresztowany jako pierwszy z całej grupy.

- 30/ Marcin Listwan - organista z Podhajec, żołnierz AK, losy jak I/.
- 31/ Władysław Lutkiewicz - żołnierz AK w Podhajcach, aresztowany w XI. 1944 r. Losy jak I/. Skazany na 15 lat KTR.
- 32/ Markuze - Żyd z Austrii, lekarz. W 1953 r. zesłaniec we wsi Oktiabrskoje /linia Tajszet - Brack/.
- 33/ Pelc - Polak, kolonista we wsi Nowosiółki pow. Podhajce, przed wojenny komunista, witek wkraczającą armię sowiecką. Deportowany w II. 1940 r. z dziesięciorgiem dzieci.
- 34/ Antoni Pilczuk - zesłaniec we wsi Oktiabrskoje w latach 1953 - 56. Ożenił się z Rosjanką.
- 35/ Bronisław Radnicki - właściciel; Radomski. Student weterynarii, żołnierz AK z Sambora, lekarz na "peresyłce" w Mołotowie w latach 1946-48.
- 36/ kpt. Safargaliew - enkawudzista w Ozierłegu w latach 1948-53.
- 37/ Sawkuła - dyrektor fabryki traktorów w Oktiabrskoje.
- 38/ Sokołowski - z Podhajec, nie zw. z AK. Aresztowany jesienią 1944 r. w 1945 r. więziony w Czortkowie.
- 39/ Solipite - Litwinka, profesor uniwersytetu w Kownie. Więźniarka Ozierłegu w latach 1948-53, skazana na dwa dodatkowe lata obozu za niedopilnowanie godła współzawodnictwa pracy.
- 40/ Szczęśna - pani z Tarnopola, w 1945 r. więziona w Czortkowie.
- 41/ Tabanow - Rosjanin, krawiec, w 1946 r. więzień łagru w Mołotowie.
- 42/ Józef Wojciechowski - jak I/. Skazany w VIII. 1945 r. na 15 lat KTR.
- 43/ Stanisława Wojciechowska - przyjmowała od autorki relacji przysięgę w AK /III.1943 r./.
- 44/ Zacharków - jak 38/.

Indeks osób do relacji p. Stanisławy Dąbrowskiej.

- I/ Kazimiera Bajdak - żołnierz AK w Podhajcach, aresztowana przez NKWD późną jesienią 1944 r. Od I. do IX. 1945 więziona w Czortkowie. Skazana w procesie grupy AK z Podhajec w sierpniu 45 r. na 10 lat ITŁ. Od IX. 1945 r. w więzieniu "peresylnym" w Dniepropietrowsku.
- 2/ Władysław Bajdak - nauczyciel w Podhajcach, żołnierz AK. Losy jak I/.
- 3/ Antonina Basowa - żona ministra finansów BSSR, więźniarka Ozierłagu w latach 1948-53. Zrehabilitowana wraz z rodziną po śmierci Stalina.
- 4/ Basow - mąż 3/, więzień łagrów.
- 5/ Basow - syn 3/ i 4/. Aresztowany po uzyskaniu pełnoletności za winy ojca.
- 6/ Nora Bauman - jak I/.
- 7/ Bauman - ojciec Nory. Żołnierz AK w Podhajcach, aresztowany wraz z córką. Zmarł w 1945 r. w więzieniu w Czortkowie.
- 8/ Brudeko - siostra zakonna, w szpitalu w Podhajcach, niezaprzysiężona współpracowniczka AK, losy jak I/.
- 9/ Daniłow - Żyd, enkawudzista w więzieniu w Czortkowie w 1945 r., specjalista od katowania więźniów.
- 10/ Józefa Dąbrowska - komendantka WSK AK w Podhajcach, wydała Sowie-
tom grupę kobiet z konspiracji /m.in. auterkę rel./
- II/ Stanisława Dąbrowska - autorka relacji, urodzona 5.VII. 1913 r. w Nowosiólkach pow. Podhajce, woj. Tarnopol, żona Wincentego. Żołnierz AK w Podhajcach. Aresztowana w pocz. grudnia 1944 r. przez NKWD, zwolniona po 3 tyg. Powtórnie aresztowana 3.I. 1945 r. Od ~~przez~~ stycznia do pocz. września 1945 r. w więzieniu w Czortkowie. Skazana pod koniec sierpnia 45 r. w procesie grupy AK z Podhajec w Czortkowie na 10 lat ITŁ. Od IX 1946 r. do pocz. I. 1946 r. w więzieniu "peresylnym" w Dniepropietrowsku. Styczeń 1946 - 1948 łagier w Mołotowie na Uralu. 1948-53 różne obozy Ozierłagu. 1953 - 1956 na zesłaniu w posiołku Oktiabrskoje na linii kolejowej Tajszet - Brack. W 1956 przyjazd do

Polski. Mieszka w Jeleniej Górze.

- 12/ Wincenty Ludwik Dobrowolski - żołnierz AK w Podhajcach, aresztowany późną jesienią 1944 r. Skazany w procesie czortkowskim na 15 lat KTR. Zginął 9.V. 1947 r. w łagrze na Workucie. Mąż autorki relacji.
- 13/ Aniela Dziewulska - astronom z Wilna, więźniarka Ozierłagu w latach 1948-53.
- 14/ Czesław Gaiczak - jak I/. Skazany na 20 lat ~~KTR~~ KTR w sierpniu 45.
- 15/ Jadwiga Galusińska - jak I/. Skazana na 10 lat ITŁ. IX. 45 r.- I. 1946 rą. więzienie w Dniepropietrowsku. Od 1.46 w obozie Mołotow /Perm/ na Uralu, później w innych łagrach uralskich. W 1948 r. wyjechała do PRL.
- 16/ Hanna Hipsz - jak I/ i potem I5/.
- 17/ Irena Huzar - z Wilna, żona sędziego, więźniarka Ozierłagu w latach 1948-53.
- 18/ Isatulin - Tatar, naczelnik jednego z obozów Ozierłagu w latach 1948-53.
- 19/ Jamnicki - st. lejtn. NKWD. Żyd urodzony w Baranowiczach. Naczelnik "peresyłki" w Mołotowie w 1946 r.
- 20/ Stanisław Kalinowski - spod Stanisławowa, żołnierz armii gen. Andersa. Zesłaniec w Oktiabrkoje w latach 1953-56.
- 21/ Kisielewska - spod Wilna, skazana na 25 lat obozu, więźniarka Ozierłagu w latach 1948-53. Amnestionowana w 1953 r.
- 22/ Kisielewski 8- mąż 21/. Skazany na 25 lat łagru.
- 23/ Komornicka - Żydówka z Warszawy, więźniarka Ozierłagu w latach 1948-53.
- 24/ Krawcow - śledczy NKWD w więzieniu w Czortkowie w 1945 r.
- 25/ Laszczyk - żona najera z Wilna. W latach 1948-53 więźniarka Ozierłagu.
- 26/ Lila Laszczyk - córka 25/. Losy jak matka.
- 27/ Leszek ze Lwowa - zmarł na "peresyłce" w Mołotowie w 1946-48.
- 28/ Grażyna Lipińska
- 29/ Zbigniew Lis - komendant AK w Podhajcach, losy jak I/. Skazany na 20 lat KTR. Aresztowany jako pierwszy z całej grupy.

- 30/ Marcin Listwan - organista z Podhajec, żołnierz AK, losy jak I/.
- 31/ Władysław Lutkiewicz - żołnierz AK w Podhajcach, aresztowany w XI. 1944 r. Losy jak I/. Skazany na 15 lat KTR.
- 32/ Markuze - Żyd z Austrii, lekarz. W 1953 r. zesłaniec we wsi Oktiabrskoje /linia Tajszet - Brack/.
- 33/ Pelc - Polak, kolonista we wsi Nowosiółki pow. Podhajce, przed wojenny komunista, witał wkraczającą armię sowiecką. Deportowany w II. 1940 r. z dziesięciorgiem dzieci.
- 34/ Antoni Pilczuk - zesłaniec we wsi Oktiabrskoje w latach 1953 - 56. Ożenił się z Rosjanką.
- 35/ Bronisław Radnicki - właściwie: Radomski. Student weterynarii, żołnierz AK z Sambora, lekarz na "peresyłce" w Mołotowie w latach 1946-48.
- 36/ kpt. Safargaliew - enkawudzista w Ozierłagu w latach 1948-53.
- 37/ Sawkuła - dyrektor fabryki traktorów w Oktiabrskoje.
- 38/ Sokołowski - z Podhajec, nie zw. z AK. Aresztowany jesienią 1944 r. w 1945 r. więziony w Czortkowie.
- 39/ Solipite - Litwinka, profesor uniwersytetu w Kownie. Więźniarka Ozierłagu w latach 1948-53, skazana na dwa dodatkowe lata obozu za niedopilnowanie godka współzawodnictwa pracy.
- 40/ Szczęsna - pani z Tarnopola, w 1945 r. więziona w Czortkowie.
- 41/ Tebanow - Rosjanin, krawiec, w 1946 r. więzień łagru w Mołotowie.
- 42/ Józef Wojciechowski - jak I/. Skazany w VIII. 1945 r. na 15 lat KTR.
- 43/ Stanisława Wojciechowska - przyjmowała od autorki relacji przysięgę w AK /III.1943 r./.
- 44/ Zacharków - jak 38/.